

POZA MNĄ

PIERWSZA I OSTATNIA MIEŁOŚĆ



BIANCA
OKOŃSKA



BIANCA
OKOŃSKA

POZA MNA



Redaktor prowadząca: Marta Budnik
Wydawca: Monika Rossiter
Redakcja: Natalia Sikora
Korekta: Bożena Sęk
Projekt, ilustracje na okładce i wyklejka: © Marta Tomiak
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2020 by Bianca Okońska

Copyright © 2020 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2020
ISBN 978-83-66611-55-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/wydawnictwo.mova



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

(...)

Zobacz, mówiłam, ta odległość między nami
jest jak jedwabny szal: otulam się nią i już jestem
z tobą. Słyszysz, jak szybko bije mi serce?
Czujesz mój oddech splątany z zapachem alg?
To nic, że właśnie teraz pochylasz się nad jakimś innym
ciałem; żadna inna kobieta nie ukołysze cię do snu
z tak daleka szumem morza w skroniach, żadna inna
nie pocałuje cię czulej ostatnim promieniem zachodu,
żadna tak szczelnie nie otuli cię nocą, ażebyś mógł
kochać się z tamtą najtkliwiej, jak umiesz.
Kimkolwiek ona jest.

(...)

Nie, nie mam do ciebie żalu: tak pięknie kłamałeś,
zapewniając, że przyjdiesz. Tak bardzo kochałam
twoje kłamstwo. W twoim kalendarzu pod tamtą datą
jak żywe źrenice wciąż ciemnieją zapomniane litery
mojego imienia.
Kiedys Bóg tak na ciebie popatrzy czarnymi źrenicami, pytając:
„Czy wiesz, że tego dnia nawet JA tobie ufałem?”

— ADRIANA SZYMAŃSKA
List znad morza do pewnego kłamcy



Zerkam na zegarek. Spóźnia się. Notuję spóźnienie na górze czystej kartki. Krzyżuję nogi. Rozprostowuję. Wyciągam przed siebie dłonie. Obracam obrączkę z białego złota na palcu. Przyglądam się jej chwilę. Mimo upływu lat nadal jest dla mnie jak nieprzemyślany tatuaż. Jak ta mała palma na mojej prawej kostce, którą wytatuowałam sobie bez zastanowienia na wakacjach w Tunezji kilka lat temu. Dziś rozlewa się w bezkształtną plamę. Mimo wszystko nie jestem w stanie się jej pozbyć.

Poprawiam się na fotelu. Skóra, którą jest obity, nieprzyjemnie skrzypi. Trzeba było najpierw na nim usiąść, wypróbować, zanim go wybrałam. Tak jest chyba ze wszystkim w życiu, nie wolno wybierać spontanicznie. To nierozsądne. Nalewam wodę do szklanki, cały czas uważnie obserwując drzwi. Niemal ją rozlewam. Zawsze się stresuję. Robię to już tyle lat, a za każdym razem jestem spięta, zasycha mi w gardle i czuję, jakby moje ciało się kurczyło, obrzydliwie, jak rodzinna. Nie sędzę, by kiedykolwiek miało mi to przejść.

Najbardziej nie lubię, gdy się spóźniają. Rodzynek też nie lubię.

Jestem punktualna. Zawsze na czas. Nawet gorzej – najczęściej przychodzę przed czasem. Ostatecznie skazując się na ciągle czekanie. Za wcześnie wyprowadziłam się z domu. Za wcześnie dorosłam. Za wcześnie zakochałam się na całe życie. Za szybko wzięłam ślub. Za szybko się rozwiodłam, nie oponując przeciwko czyimś decyzjom. Zbyt wcześnie przestałam czekać na cokolwiek. Wiele rzeczy przyszło do mnie też za wcześnie. I za łatwo.

Nie wiem, dlaczego to robię, skoro czuję się z tym tak źle. Nie lubię obserwować, jak z minuty na minutę moje zdenerwowanie urasta do rozmiarów, które trudno mi jest zatuszować zakietem, okularami i trzymanym na kolanach notesem. Coraz mocniej zaciskam palce na długopisie. Przyglądam się, jak bieleją moje opuszki.

Rozluźniam dłonie, gdy ciepły wiatr szarpiący zasłonami w otwartym oknie przypomina mi, że jest lipiec. Lubię ten miesiąc. W lipcu jest spokojniej. Ciszej. Smutki rodzą się raczej zimą, wiosną i latem znikają, blakną w słońcu. Stają się nieważne, jak przysłowiowy zeszłoroczny śnieg.

Najwięcej tak zwanych młodych dorosłych przychodzi w listopadzie. Przyjeżdżają do Krakowa z całej Polski, z tych swoich okolicznych wiosek, i tracą grunt pod nogami. Nie potrafią się odnaleźć. Część z nich ma pieniądze od rodziców, ale zupełnie nie umie ich wydawać. Nie wiedzą, jak oddychać w mieście, które przez wiele miesięcy roku dusi smogiem. To miasto, pełne możliwości, kultury, imprez i dźwięków, staje się dla nich klatką, z której chcieliby jak najszybciej uciec, ale utykają między prętami. Coś ich tu trzyma. Wtedy przychodzą do mnie. Żeby usłyszeć, że to zupełnie normalne. Że ja

też tak miałam. Że trzeba tylko przetrzymać najgorszy czas, ten, w którym wszystko jest obce, złe, zbyt jasne, zbyt głośne i zbyt straszne. W końcu przywykają i latem, gdy leżą pijani na trawniku miasteczka studenckiego, w ramionach dziewczyny lub chłopaka, już nie pamiętają, jak płakali w fotelu stojącym naprzeciwko mnie. Jest lipiec. Już nie boją się Krakowa. Wierzą w słowa, które szepcze im do ucha miasto lub ten chłopak, ta dziewczyna. Oswoili bestię.

W lipcu przychodzą inni, młodszy. Przychodzą lub – częściej – są przyprowadzani. Nastolatki, którzy targani nudą, postanowili przepić całe wakacje. Dla nich, wychowanych w tym mieście, możliwości zaczynają się wyczerpywać, kiedy mają po siedemnaście lat. I tak jak ci poprzedni zaczynają marzyć o ucieczce, ale gdzieś dalej – do Londynu, Paryża czy Stanów. Chcą robić karierę. Miasto już ich nudzi. Jest za małe, zbyt ciasne, za ciche. Upijają się każdego wieczoru rozwodnionym piwem kupionym na lewy dowód i palą papierosa za papierosem. Szukają wrażeń, których przestaje dostarczać alkohol, i żeby tylko zmieścić się między prętami tej klatki, rozpuszczają swój umysł w coraz większej ilości substancji psychoaktywnych. Przyprowadzają ich rodzice, świadomi, że to tylko taka faza. Mają pewność, że ich dzieci pojedą do tych swoich wielkich zagranicznych miast i będą robić karierę. Trzeba ich tylko odtruć. Ja odtruwam. Mówię im, że to normalne. Widziałam już trochę. „Normalność” stała się dla mnie bardzo pojemnym słowem.

Czasem jednak trafi się ktoś inny. Ktoś, kto zapada w pamięć. Jak ona. Pamiętam tę drobną blondynkę. Jej kolana były tak chude, że przez gruby dżinsowy materiał widziałam dokładnie kształt jej rzepek. Rurki na jej nogach były niczym dzwony, a dżinsowa kurtka jak obszerny płaszcz.

Miała wyjechać do Paryża. Być modelką. Chciała chodzić na castingi, podróżować po świecie, spacerować po wybiegu w jedną i drugą stronę w absurdalnie wysokich za małych szpilkach. Zaczęła palić marihuanę, by celowo zwiększać odczuwany głód, i tak już ogromny przez kolejne diety.

– Nie powinnaś raczej palić papierosów, żeby stłumić uczucie głodu? – zapytałam, celowo nadając pytaniu charakter niewinnego żartu. – Myślałam, że tak robią modelki.

– Od kiedy pamiętam, wszystko robiłam po to, żeby czegoś nie czuć. Teraz palę zioło, bo chcę czuć chociaż to, jak ssie mnie w żołądku. Chcę czuć to jeszcze bardziej.

Przerwała terapię. Któregoś dnia po prostu przestała przychodzić. Sądziłam, że wyjechała do Paryża i teraz leżąc co wieczór na kamiennym brzegu Sekwany, pali skręta i wpatruje się tymi swoimi niezwykle błękitnymi oczami w nurt rzeki. Ale nie. Zaszła w ciążę. Z zupełnie przypadkowym chłopakiem. Na imprezie w klubie, który był równie przypadkowy. Mając osiemnaście lat, urodziła zdrowego ślicznego chłopca, któremu dała na imię Jacques. Francuskie imię na pamiątkę Paryża, którego miała nigdy nie zobaczyć.

Dowiedziałam się tego wszystkiego od jej matki, gdy kompletnie rozbita i zrozpaczona usiadła pewnego dnia w fotelu, w którym rok wcześniej siedziała jej drobniotka córka:

– Tak okropnie przytyła. Tak okropnie wygląda. – Tak okropnie nie tak.

Matka wylewała łzy nad każdym kilogramem, który przybrała jej niegdyś przepiękna córka. Taka była z niej dumna jeszcze chwilę temu. Kilka kilogramów i rozstępów temu była spełnieniem jej marzeń. Teraz matka płakała, jakby ktoś zepsuł jej przepiękną laleczkę. Próbowalam jej współczuć, ale w głowie miałam tylko myśl, że ten chłopczyk być może

tę dziewczynę uratował. Może urodził się właśnie po to, by ją uratować. Uszczypnąć malutkimi paluszkami w błady policzki i sprawić, by w końcu coś poczuła. By w końcu zrobiła się głodna życia. Nie wiem tego na pewno. W pracy muszę polegać wyłącznie na tym, co mi się wydaje. Czasem też na pierwszych wrażeniach.

Kiedy o niej myślę, mam przed oczami pożar katedry Notre Dame. Już pierwsze zdjęcie płonącego gmachu, które zobaczyłam w jakimś serwisie informacyjnym, zabolalo mnie bardziej, niż sądziłam. Pamiętałam jeszcze dokładnie, jak zwiedzałam Paryż z moją najlepszą przyjaciółką w ramach babskiego wyjazdu, a rzygacz na szczycie katedry uśmiechał się ironicznie do naszych pijanych wybitnym francuskim winem twarzy. Gdy zobaczyłam film z upadającą główną iglicą katedry, przypomniła mi się właśnie ta blondynka.

* * *

Rozlega się pukanie. Nienawidzę spóźnialskich. Nienawidzę rodzynek. Rozluźniam dłoni i wygładzam nogawki swoich spodni. Całe moje ciało rozprostowuje się nagle jak cienki zwiewny materiał pod ciężarem upuszczonego na niego rozgrzanego żelazka. Rozciągam szyję, dociskając uszy do barków, rozmasowuję kark. Wypuszczam z płuc powietrze, jakbym się upewniała, że starczy mi go na wypowiedzenie kolejnego słowa:

– Proszę.

Należy podnieść żelazko, nim materiał się przypali.

Drzwi się otwierają, jakby osoba wchodząca do środka była o nie oparta i ktoś po mojej stronie nagle nacisnął na klamkę. Chłopak właściwie wpada do pomieszczenia.

Zgarbiony, na oko osiemnastolatek, przekracza próg mojego gabinetu. Rozluźniam się jeszcze bardziej, bo on jest bardziej spięty ode mnie. To na pewno nieetyczne, ale zawsze dodaje mi odwagi. Chłopak siada i zaczyna mówić.

Jest ubrany w zbyt obszerną bluzę z kapturem. Chyba ma znaczenie, że jest czarna, a na jej przodzie widnieją jakieś fikuśne napisy. Najprawdopodobniej w języku angielskim, ale sposób wygięcia liter w każdą z czterech stron świata zupełnie uniemożliwia mi odczytanie sensu słów. Spodnie zwiśają z jego chudego ciała tak, że siadając, prawie je z siebie ściąga. Znałam już chłopaka, który w ten sposób nosił swoje spodnie. Buty, które ma na sobie, są brudne i poprzecierane w wielu miejscach. Sprawiają wrażenie, jakby nieraz musiał skakać w nich przez płot, uciekając przed goniącą go strażą miejską. Buty tamtego chłopaka zawsze były nieskazitelnie czyste. Czuję zapach zwietrzałego alkoholu. Alkoholu, który najpewniej próbował zmyć z siebie szybkim porannym prysznicem i zatuszować tanimi perfumami z drogerii. Przez chwilę z mieszanki zapachów starych i nowych wyłuskuję jeden, dobrze mi znany. Wstrzymuję oddech, by go nie czuć. Jestem tu i teraz.

Jest skacowany. Ale w jego oczach, gdy tylko udaje mi się pochwycić jego wzrok, jawi się butna pewność siebie. Jakieś dziwne przekonanie o sobie samym wsparte pewnie licznymi komplementami równoletnich koleżanek. Śmierdzi alkoholem, ma brudne stare ciuchy, garbi się, ale coś buduje jego poczucie własnej wartości. Ma w sobie coś ważnego. Mimo że nie jest umięśniony i ma asymetryczną twarz – jest przystojny. Ma to szczęście, że jest obdarzony urodą, która przyciąga wzrok. Ta uroda utrudnia mi określenie jego dokładnego wieku.



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 facebook.com/wydawnictwo.mova



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059